

**Magdalena Maria Bukowiecka,
Marek Wojtaś**

**Moje odkrywanie Liberii (i Czadu) :
od Ryszarda Kapuścińskiego do
Marka Wojtasia**

Nurt SVD 45/1 (129), 273-297

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Moje odkrywanie Liberii (i Czadu). Od Ryszarda Kapuścińskiego do Marka Wojtasia SVD

Magdalena-Maria Bukowiecka



Marek Wojtaś. Do Zgromadzenia Słowa Bożego wstąpił w 1994 roku. Pracował przez krótki czas w Liberii oraz w Czadzie. Obecnie przebywa w Domu Misyjnym św. Wojciecha w Pieniężnie.



Magdalena-Maria Bukowiecka. Olsztynianka z urodzenia i z zamiłowania. Absolwentka filologii angielskiej Uniwersytetu Gdańskiego ze specjalnością: psycholingwistyka. Z zawodu tłumacz języka angielskiego i specjalista ds. planowania strategicznego w Urzędzie Miasta Olsztyna. Wolny czas spędza na podróżach połączonych z odkrywaniem historii.

Wprowadzenie

Na swoje siódme urodziny dostałam od Mamy Wielki Atlas Świata. Na sztywnych kartach kolejne mapy prezentowały soczystą zielen Wypś Brytyjskich, brunatną czerwień Himalajów, żywą żółć Sahary i błękitny lazur Morza Śródziemnego. Czytałam Atlas jak książkę, rozszyfrowywałam egzotyczne nazwy miast (taka Guadalajara albo Cancun do dziś wywołują dreszczyk emocji!), palcem śledziłam południki i równoleżniki, by na ich podstawie wyliczać współrzędne i czas lokalny.

W wieku lat dziesięciu odkryłam książki Ryszarda Kapuścińskiego i świat stał się zdecydowanie bliższy.

Liberia. Małutki zakątek świata pokolorowany w odcieniu oliwkowego, wciśnięty w zachodni rożek tego tak charakterystycznego kształtu, otoczony błękitem Oceanu Atlantyckiego. Zdaniem Kapuścińskiego „to przedłużenie porządku niewolniczego z woli samych niewol-

ników"¹. Oraz „kraj złota, diamentów i narkotyków”². Ewentualnie „stygające piekło”³.

Mój optymizm, wrodzony nakaz znalezienia światełka w najciemniejszym nawet tunelu, także wiara w Człowieka – nie pozwoliły mi uwierzyć w te hekatombyszące się – jedna po drugiej – z kolejnych stron *Hebanu*. Co to za miejsce przekłete – ta Liberia, że mieszkańcy jednego kraju toczą walkę na śmierć i życie za każdy fałszywy ruch lub spojrzenie, a kadencja urzędującego prezydenta wygasa najczęściej w dniu, w którym jego obywatele tracą do głowy własnego państwa cierpliwość i mordują go?! Co to za kraj, którego mieszkańcy z rozmysłem niszczą wszelkie namiastki własnej infrastruktury i cywilizacji zabijając siebie nawzajem?! Ze wszystkich tych plastycznie kunsztownych i dziennikarsko rzetelnych, a przecież dramatycznie wstrząsających opisów – wołałam już raczej zapamiętać karaluchy w El Mason Hotel...

A potem poznałam brata Marka Wojtasia, misjonarza ze Zgromadzenia Słowa Bożego.

1. Brat Marek Wojtaś – zawód: misjonarz

– Który to rok u werbistów? – pytam z – mam nadzieję – namacalnym zaciekawieniem.

– Wstąpiłem w 1994 roku. Rok postulatu, rok nowicjatu, później dwa lata byłem tutaj w Pieniężnie, w Instytucie Teologiczno-Katechetycznym dla braci. Po dwóch latach wyjechałem do Irlandii, na dalszą formację. Tam w 2002 roku złożyłem śluby wieczyste i w 2004 wyjechałem na dwuletnią misję do Liberii. Wróciłem w 2007 roku i w tym samym roku, w październiku, wyjechałem do Czadu, gdzie po kilku miesiącach miałem wypadek samochodowy i z powodu odniesionych obrażeń musiałem wracać do Polski na leczenie. I nadal tu jestem – w pieniężnieńskim Misyjnym Seminarium Duchownym uczę języka angielskiego.

Zatem – pełnia szczęścia! Człowiek, który osobiście był, pracował i mieszkał w Liberii. Ktoś, komu zadam wszystkie pytania, których – niestety – nie zdołam już zadać Ryszardowi Kapuścińskiemu...

– Jaki krajobraz ujawnił się Bratu zaraz na lotnisku? Jakie odczucia i jakie emocje wywołał? Domyślałam się, że samolot wylądował w Monrowii...

¹ R. Kapuściński, *Heban*, Warszawa 2008, s. 249.

² Tenże, s. 252.

³ Tenże, s. 246.

- Wylatywałem z Brukseli w styczniu 2004 roku. Akurat było dosyć zimno – wtedy w Europie zachodniej był atak zimy. Leciałem przez Londyn i wiele lotów do i z Londynu było odwołanych bądź opóźnionych. Obawiałem się, że to może wpłynąć też na moją podróż, ale na szczęście nie było żadnego opóźnienia i do Monrowii leciałem bezpośrednio z Brukseli. Było naprawdę bardzo zimno – całe lotnisko było oblodzone, padał śnieg. Europa była zatem skuta lodem – a tam wylądowałem w upale. Pamiętam, że kiedy przechodziłem przez drzwi samolotu – nagle uderzyła mnie fala gorąca. Różnica temperatur była naprawdę duża. W Monrowii było z pewnością ponad 30 stopni.

Jak u Cesarza Reportażu: „Przed wszystkim pomyślałem: jak tu straszliwie gorąco!”⁴

- Co to jest za miejsce – Monrowia? Z suchych encyklopedycznych informacji wiem, że – szacunkowo – zamieszkuje tam około pół miliona ludzi, że historia miasta sięga roku 1822, kiedy to Amerykańskie Towarzystwo Kolonizacyjne założyło ją z myślą o wyzwolonych niewolnikach, i że jej nazwę nadano na cześć Jamesa Monroe, piątego prezydenta Stanów Zjednoczonych⁵...

- Monrowia jest stolicą Liberii. W czasie, kiedy ja tam przybyłem – była potwornie zniszczona długotrwałą wojną domową, która ciągnęła się, z przerwami, około czternastu lat. Wszystko totalnie zniszczone: drogi, ulice, w ulicach wielkie dziury po bombach, granatach... Zburzone lub zrujnowane domy, bez światła, bez elektryczności, bez bieżącej wody – żadnej infrastruktury. Zresztą, tam do tej pory nie ma tej podstawowej infrastruktury.

Szkoda... I pomyśleć, że okres prezydentury Monroe nazywa się „erą dobrego samopoczucia”⁶. W miejscu, gdzie każda ulica i dom, każdy skrawek ziemi – to żywe obrazy wojennej pożogi, i gdzie dodatkowo panuje morderczy upał – chyba raczej trudno o dobre samopoczucie... Podwójnie szkoda, bo wrażenia Kapuścińskiego sprzed kilku dobrych lat nadal są aktualne...

- I to stolica kraju. A co mówić o reszcie? – kontynuuje Brat Marek z wyraźnym żalem w głosie. – Liberia leży nad Oceanem Atlantyckim, około 50% powierzchni kraju pokrywają lasy tropikalne. Może nie jest to dżungla podobna do gęstej, ciemnej dżungli amazońskiej – ale są to wielkie lasy tropikalne, podobno jedne z najpiękniejszych i najbogatszych, jakie w Afryce jeszcze się zachowały. Im dalej na północ – tym więcej lasów. Klimat też troszkę suchszy niż nad samym Oceanem, taki

⁴ Tenże, s. 246.

⁵ *Wielka Encyklopedia PWN*, t. 18, Warszawa 2003, s. 66.

⁶ Tamże, s. 65.

bardziej przyjazny człowiekowi, łatwiejszy do zniesienia... Ciepło, gorąco, ale nie tak parno i duszno jak nad samym Atlantykiem.

- *Hot* - ale nie *humid*?

- Tak.

- Jak doszło do tego, że znalazł się Brat w Liberii?

- Liberię wiele lat trawiła wojna domowa, która zakończyła się dopiero w roku 2003 rozejmem między walczącymi ugrupowaniami, a zwłaszcza zgodą na ustąpienie ze stanowiska ówczesnego prezydenta, Charlesa Taylora, który oczywiście ustąpić nie chciał, bo nie chciał wypuścić z rąk władzy, o którą wiele lat się bił i za którą wielu ludzi wymordował.

- Teraz obalany - sam wcześniej obalał Samuela Doe...

- ... który z kolei 10 lat wcześniej poćwiartował w łóżku Williama Tolberta... - wchodzi mi w słowo Brat Marek i nie ma siły. Nie unikniemy tematu zbrodni...

2. Plan rajy o nazwie roboczej „Wolność”

- Żeby Liberię zrozumieć - rozpoczyna Brat Marek swoje opowiadanie i oboje, jak na komendę, wygodniej rozpiaramy się w fotelach - trzeba dobrze znać historię tego kraju ostatnich dwudziestu - trzydziestu lat, a może w ogóle cofnąć się do XIX wieku i zrozumieć, dlaczego Liberia powstała i co to jest za organizm. W zamyśle jej „twórców” miała być pierwszą afrykańską republiką. Była jednym z dwóch krajów, którego Europejczycy nie zdołali skolonizować (drugim była Etiopia). Niewolnictwo w Stanach Zjednoczonych zniesiono w 1863 roku, jednak ruchy abolicyjne pojawiały się o wiele wcześniej, już na przełomie XVIII i XIX wieku. Funkcjonowały ugrupowania, które twierdziły, że nie jest słusznym, by jeden człowiek był właścicielem drugiego człowieka i by rozporządzał nim jak rzeczą. Nawoływały więc o zwrócenie niewolnikom wolności. Pojawiały się też takie głosy, które zwracały uwagę, iż tych niewolników jest już po prostu za dużo. W niektórych rejonach Stanów, szczególnie na południu, więcej było czarnych niewolników niż ich białych właścicieli. Niektórzy dostrzegali w tym niebezpieczeństwo: skoro niewolnicy tak mocno rosną w liczbę - to wkrótce mogą także urosnąć w siłę i pewnego dnia nam zagrozić. Pamiętajmy o Powstaniu Spartakusa w starożytnym Rzymie - owszem, krwawo się skończyło, wszystkich powstańców ukrzyżowano, ale przy okazji niewolnicy ze Sparty zamordowali również wielu ze swoich rzymskich właścicieli. A zatem i w Stanach należałoby COŚ zrobić - zanim ten problem zacznie nas przerastać. Różne cele przyświecały

różnym zwolennikom abolicji: niektórym szlachetne, chrześcijańskie, że każdy człowiek rodzi się wolny i ma prawo żyć i umrzeć wolnym; innym – bardziej pragmatyczne. W końcu biali zaczęli dochodzić do wniosku, że trzeba niewolników wyzwolić. Zresztą, wielu z nich uzyskało wolność już wcześniej: wykupywali się albo ich właściciele darowywali im wolność. W związku z tym, grupy byłych niewolników stawały się coraz bardziej liczne. Jednak byli niewolnicy mieli problemy z zatrudnieniem – waleśali się zatem od miasta do miasta jak takie wagabundy. Także i z tym problemem coś trzeba było zrobić. Powstała więc idea, żeby ich po prostu przesiedlić: wrócić im nie tylko wolność – ale wrócić im także ziemię przodków, czyli Afrykę. I znowu: dla niektórych była to piękna i wzniosła idea, że oto niewolnicy wracają do ziemi przodków; dla innych hasłem przewodnim było z kolei: przegonić ich stąd, niech wracają tam, skąd przyjechali – a raczej tam, skąd ich przywieziono. Powstało Amerykańskie Towarzystwo Kolonizacyjne, o którym wspomniała Pani w kontekście zakładania Monrowii, i które problemem wyzwolonych niewolników zajęło się oficjalnie, z ramienia rządu federalnego. W 1818 roku odbyła się pierwsza wyprawa „przesiedleńcza”: grupę kilkudziesięciu byłych niewolników – już jako ludzi wolnych – wraz z urzędnikami Towarzystwa Kolonizacyjnego statkiem przetransportowano do zachodniej Afryki. Już kilka lat wcześniej Brytyjczycy zaczęli przesiedlać swoich byłych niewolników na tereny mniej więcej dzisiejszej Sierra Leone. Amerykanie wylądowali z kolei właśnie w okolicach dzisiejszej Monrowii. Pierwszą grupę tych przesiedleńców niestety zdziesiątkowały choroby, przede wszystkim malaria. Następna grupa wypłynęła w roku 1821 i tym razem się udało. Republika stała się faktem dokonany. Nie było to jeszcze państwo suwerenne – ale kolonią też już nie było. Stanowiło raczej terytorium zarządzane przez Amerykańskie Towarzystwo Kolonizacyjne – oficjalną amerykańską agencję rządową. Różnymi sposobami uzyskano od miejscowej ludności pas ziemi nad Atlantykiem. Sporo terenów zdobyto po prostu pistoletem przyłożonym do głowy szefom – wodzom tubylczych plemion, których następnie zmuszono do złożenia podpisu na papierze, choć on sam nie wiedział nawet, że podpisuje akt sprzedaży ziemi. I tak się zaczęła Liberia... Do 1846 roku Towarzystwo Kolonizacyjne było jedynym bezpośrednim zarządcą tego „kraju”. W roku 1847 władze amerykańskie doszły do wniosku, że zarządzanie Liberią staje się troszkę uciążliwe – należy byłych niewolników, aktualnych mieszkańców Liberii usamodzielnic. Niech się po prostu odłączą od Stanów Zjednoczonych i ogłoszą swoją niepodległość. I tak też się stało. Naprędce jeden z profesorów prawa z Harvardu spisał konstytu-

cję wzorowaną na konstytucji Stanów. Skopioowano nawet flagę USA i w 1847 ogłoszono deklarację niepodległości Liberii. Od tego momentu mamy do czynienia z Republiką Liberii. Pierwszym gubernatorem został potomek pierwszych osadników – dotąd najwyższym urzędnikiem był zawsze biały Amerykanin, przedstawiciel rządu amerykańskiego. Następne lata to proces tworzenia się Republiki, utarczki z rdzenną ludnością, z państwami ościennymi, z mocarstwami europejskimi, Francją, Wielką Brytanią, o panowanie nad ziemią. W międzyczasie statki dalej przywoziły niewolników do Wielkiej Brytanii lub Stanów Zjednoczonych, ale ponieważ niewolnictwo zostało już zniesione lub nawet zakazane – armia brytyjska, przyłapawszy taki statek – odsyłała go do Sierra Leone lub do Liberii. Obok przesiedlonych byłych niewolników i ludności tubylczej niedoszli niewolnicy byli więc kolejną „warstwą społeczną”. Między ludnością tubylczą a przesiedleńcami nigdy nie wytworzyła się więź, bo, jak się okazało, byli niewolnicy przywieźli ze Stanów Zjednoczonych wiele zwyczajów, na które napatrzyli się i które podziwiali u swoich niegdysiejszych właścicieli. Teraz to oni byli wolni i wielu z nich nagle stało się panami. Zaczęli budować sobie domy dokładnie na wzór tych, które pamiętali z południowej Ameryki. Ubiór, struktura społeczna – oni mieli władzę, dostęp do szkół, urzędów, a rdzenni tubylcy pozbawieni byli praw wyborczych i obywatelskich aż do okresu po II wojnie światowej. Potomkowie tych pierwszych osiedleńców sami siebie nazywali, ale też inni określali ich jako „Amero-Liberians”. Ogólnie, nazwa „Liberia” pochodzi od łacińskiego *libertas* (stąd w angielskim: *liberty*) – czyli wolność. Motto Liberii brzmi: *Umiłowanie wolności przywiodło nas tutaj* [*The love of liberty brought us here*]. Później wielu, szczególnie tych rdzennych mieszkańców z terenów Liberii, twierdziło, że to umiłowanie wolności dla jednych – dla nich oznaczało prawie niewolnictwo.

– Taki „wymyślony kraj”⁷, który miał być „rajem dla wyzwolonych niewolników [...], ale te marzenia zamieniły się w piekło”⁸, „przedłużenie porządku niewolniczego z woli samych niewolników”⁹.

– Dokładnie. Pod koniec II wojny światowej, w roku 1943, władzę objął niejaki William Tubman i zaczął wprowadzać trochę więcej sprawiedliwości i równości społecznej – niwelować różnice między Amero-Liberyjczykami a rdzennymi mieszkańcami. Tym ostatnim przyznał chociażby prawa wyborcze, dostęp do szkół i urzędów. Rzą-

⁷ J. Tichoniuk, *Liberia – wymyślony kraj* [on-line]: www.nationalgeographic.pl/artykuly/pokaz/liberia-wymys-lony-kraj/1/ [dostęp: 20.02.2011].

⁸ Tamże.

⁹ R. Kapuściński, *Heban*, dz. cyt., s. 252.

dził kilkadziesiąt lat, aż do roku 1971, kiedy umarł jeszcze w miarę normalnie, powiedzmy: śmiercią naturalną – oboje znacząco kiwamy głowami. – Władzę po nim objął William Tolbert, bliski współpracownik Tubmana. Liberia od samego zarania swego istnienia była silnie związana ze Stanami Zjednoczonymi – ideologicznie, politycznie. W czasie II wojny światowej, jako strategiczny partner, była sprzymierzeńcem aliantów, ponieważ obfitowała w gumę kauczukową. W 1926 roku niejaki Firestone, właściciel wielkiego przedsiębiorstwa przetwarzającego gumę kauczukową, nabył w Liberii ogromny obszar ziemi – ponad milion hektarów, na których urządził plantację kauczukową. Do niedawna była to największa plantacja na świecie. Dzięki temu Amerykanie w latach 20-tych i 30-tych XX wieku zdołali przełamać brytyjski monopol na produkcję gumy i odnieśli ogromny sukces przemysłowy i strategiczny. Podczas II wojny światowej liberyjski kauczuk służył do produkcji opon, używanych później m.in. w pojazdach aliantów. Po II wojnie światowej Liberia pozostała sprzymierzeńcem USA – Amerykanie ulokowali tam chociażby wielką bazę wywiadowczą, obejmującą Afrykę północno-zachodnią, stamtąd nadawano „Głos Ameryki”. I tak było do późnych lat 70-tych ubiegłego wieku – kiedy to Tolbert nagle trochę zaczął zmieniać front. Naraził się Amerykanom tym, że ni stąd, ni zowąd zerwał wszelkie stosunki dyplomatyczne z Izraelem, który był przecież jeszcze większym sprzymierzeńcem Amerykanów niż Liberia. Również pod względem ekonomicznym w Liberii zaczynało dziać się coraz gorzej. Do tego czasu był to kraj na tyle zamożny, że obywatele innych państw Afryki, m.in. z Sierra Leone, z Ghany – emigrowali do Liberii w poszukiwaniu pracy i lepszego życia. Natomiast pod koniec lat 70-tych kraj dotknął kryzys gospodarczy i fala korupcji – w związku z czym wysoka cena i ogólnie brak chleba zadziałał jak przysłowiowa iskra zapalna. Już w starożytnym Rzymie cesarz musiał martwić się przecież o dwie rzeczy: o igrzyska i o chleb...! Jak widać – od tamtych czasów niewiele się zmieniło. W Liberii chlebem jest ryż – podstawowy produkt żywnościowy. Jego cena gwałtownie poszła w górę. Tolbert, mając jakieś swoje niejasne udziały rodzinne, zaczął manipulować przy produkcji, sprowadzaniu z Chin i sprzedaży ryżu, i z dnia na dzień podniósł jego cenę o kilkaset procent – co oczywiście wywołało protesty ludności, manifestacje i rozruchy. Kilkadziesiąt osób zginęło. Minął rok i odbyły się kolejne manifestacje – rocznicowe. Tolbert znów nasłał na protestujących policję i znów nie obyło się bez ofiar. W końcu pewnej nocy grupa żołnierzy wdarła się do pałacu prezydenta, wtargnęli do jego sypialni i tam go zamordowali.

3. Anatomia zbrodni. Spirala zemsty

- Kapuściński pisze, że grupa siedemnastu podoficerów zawodowych, którym dowodził Samuel Doe, poszła „do rezydencji prezydenta Tolberta spytać, kiedy dostaną zaległy żołd. [...] Tolbert spał. Korzystając z okazji, zadźgali go bagnetami”¹⁰...

- Bardzo okrutnie z nim postąpili... Wyłupili mu oczy, poderżnęli gardło, a te strzępy człowieka wyrzucili przez balkon pałacu prezydenckiego - tego samego, który w latach 60-tych wybudowali Izraelczycy i który wyglądał jak twierdza. Co dziwne - Amerykanie nie zareagowali. Niektórzy mówią, że Amerykanie maczali w tym wszystkim palce, że sami chcieli się Tolberta pozbyć. Tak czy inaczej, władzę w Liberii objął Samuel Doe. Doe był pierwszym rdzennym Afrykańczykiem, który objął władzę w Liberii. W całym kraju zapanała wielka radość i duma, że oto „ich” człowiek został prezydentem. Doe zaczął rządy od rozprawiania się z ekipą poprzedniego prezydenta. Część ludzi powiesił, część wystrzelał - przygotował na plaży wielką masową strzelaninę-egzekucję, podczas której uśmiercił prawie wszystkich ministrów i członków rządu Tolberta. Sam rozpoczął sprawowanie władzy jako nieoficjalna głowa rządu, którą pozostał aż do 1985 roku, kiedy Amerykanie zmusili go wreszcie, by przeprowadził legalne wybory prezydenckie. Doe wybory przeprowadził - ale sfałszowane, które oczywiście wygrał, na co amerykański rząd ponownie przymknął oko. Po drodze zdarzyło się kilka rewolt, które Doe krwawo stłumił i właściwie stał się nienawidzonym przez wszystkich tyranem. W 1986 roku oskarżył niejakiego Charlesa Taylora, członka własnego rządu, o malwersację finansową i wydał nakaz aresztowania go - Taylor mógł się zatem spodziewać, że żywy z tego nie wyjdzie. Udało mu się jednak zbiec do Stanów Zjednoczonych. Wściekły Doe zażądał wydania Taylora. Ponieważ jeszcze wtedy Amerykanie patrzyli na Doe łaskawym okiem, znaleźli Taylora i mieli zamiar wydać władzom Liberii. Nie zdążyli go jednak przetransportować, bo Taylor stamtąd też zdołał uciec. Jak to uczynił - nikt do tej pory nie wie. Zbiegł - jak się później okazało - do Libii. Tam, otoczony opieką Muammara Kadafiego, zaczął zbierać ludzi i wspólnie z nimi trenować walkę partyzantską. W Wigilię Bożego Narodzenia 1989 przez Wybrzeże Kości Słoniowej wkroczył do Liberii. Musiał zatem pokonać całkiem spory kawał lądu, by dotrzeć do swego kraju - co oczywiście nie byłoby możliwe bez cichej zgody władz Wybrzeża Kości Słoniowej. Ci zgodzili się na taki układ, ponieważ sami żywili urazę do Samuela Doe, który w 1980

¹⁰ R. Kapuściński, *Heban*, dz. cyt., s. 264.

roku zabił zięcia tamtejszego prezydenta. Widząc możliwość zemsty pozwolili działać Taylorowi, który wkroczył do Liberii i rozpoczął masakrę. Tak zaczęła się wojna domowa. W międzyczasie powstały także inne ugrupowania, które dążyły do przejęcia władzy. Jedno z nich, pod przywództwem Prince'a Johnsona dotarło w końcu do Monrowii i schwytało Doe. Zamęczono go na śmierć – co zostało uwiecznione na autentycznym filmie video z przesłuchania...

– ...który trwa dwie godziny i w niektórych barach puszczano był z kasety VHS bez przerwy¹¹. Scena katowania Samuela Doe – to najokropniejszy obraz, jaki przeczytałam w swoim życiu. A przecież Doe, usłyszawszy o zamieszkach w porcie – osobiście udał się tam na rekonesans. Raptem „zaklęcia i niezwykłe moce”¹² przestały go chronić...

– Prince Johnson to okrutny człowiek, wręcz psychopata. Jeszcze żyje. Schwytał Doe i na miejscu zaczął go przesłuchiwać: co zrobiłeś z tymi wszystkimi pieniędzmi, gdzie masz diamenty...? Najpierw obciął mu jedno ucho, potem drugie... Sam pił przy tym piwo, wszyscy jego ludzie świetnie się bawili... Potem mu obciął kawałek nosa, palce... Stłukli go tak mocno, że krwawił strumieniami – chociaż ciągle żył. Znudzony Johnson kazał go w końcu zabrać sprzed swoich oczu. Wyrzucono go więc na śmietnik, gdzie, nagi, dogorywał kilka godzin, aż w końcu wykrwawił się na śmierć.

– Śmierć Doe nie oznacza jednak końca tego ziemskiego piekła, a przeciwnie – jego eskalację. Gehennę gehenn. Dintojrę byłych kolegów z wojska: Johnsona, Taylora, Doe. Wszyscy trzej są tak bardzo ambitni, że każdy chce mieć władzę tylko dla siebie. Doe już leży zakatowany w porcie. Jednego mniej. Taylor zaczyna więc walczyć z Johnsonem, „obaj – z resztkami armii liberyjskiej, a z nimi wszystkimi wojska interwencyjne kilku krajów Afryki”¹³.

– Ostatecznie z tej dwójki wygrał Charles Taylor, zbrodniarz pierwszej klasy, i natychmiast, na całe lata 90-te, stał się przekleństwem Liberii. Wielu ludzi przyłączyło się do niego z czystej chęci zemsty na Doe, wielu – szczególnie młodych – z chęci zysku, bo mogli sobie nagabić, nagwałcić; a wielu ze strachu – niestety. Taylor wkraczał bowiem do miasteczka i rozkazywał: wszyscy do mnie! A kto nie – mógł spodziewać się tylko śmierci. Zasłynął z tego, że stworzył armię dzieci-żołnierzy, których wabił na wszystkie możliwe sposoby: niektórych obietnicami, niektórych przemocą i strachem. Faszzerował ich narkoty-

¹¹ [Za:] tenże, s. 262.

¹² Tenże, s. 258.

¹³ Tenże, s. 267.

kami. Dawał im mało jedzenia, nie dawał im pieniędzy – dawał im za to karabin i narkotyki. Mówił: ja chcę tę, tę i tę wioskę – te trzy wioski za tydzień mają być w moich rękach. Wy macie je dla mnie zdobyć. Ja wam wprawdzie nic nie zapłacę – ale sami sobie odbierzecie należny wam zarobek. Co tam znajdziecie: kobiety, mężczyzn, bydło, zwierzyne, pola – wszystko jest wasze. Ja chcę tylko zaliczyć te ziemie do siebie podległych. No to dzieci-żołnierze zdobywali Taylorowi te wioski. Okropne rzeczy tam się działy... Wszyscy już mieli dosyć tej rzezi, ale wiadomo było, że Taylor nie spocznie, dopóki nie zdobędzie prezydentury. W końcu państwa Afryki, za zgodą USA, uznały, że w Liberii powinny odbyć się wybory i niech Taylor ma tę władzę. Może wtedy skończy się ten koszmar. Sam Taylor powtarzał ciągle, że on te wybory musi wygrać, legalnie lub nie – bo jak nie wygra, to wojna w Liberii się nie skończy. Mówił to zupełnie otwarcie. Wygrał przygniatającą ilością głosów. W całej Liberii popularny stał się taki wierszyk-piosenka: Taylor zabił mi mamę, zabił mi tatę – będę na niego głosował. Ludzie wiedzieli, że jeśli Taylor nie zostanie prezydentem – to wojna nigdy się nie skończy. W 1997 dopiął swego, wygrał wybory i próbował zaprowadzić jako taki ład w Liberii, ale to był terrorysta i zbrodniarz – rządził zatem za pomocą tajnej policji i terroru. W 2000 roku kolejne ugrupowanie wkroczyło do Liberii – tym razem od strony Gwinei, aby obalić Taylora. Znow zaczęła się wojna. Trwała do 2003 roku, kiedy to wreszcie, pod naciskiem międzynarodowym, Taylor zgodził się ustąpić i udać się na wygnanie do Nigerii, gdzie uzyskał azyl polityczny.

- A w tej chwili sądzi go Trybunał Sprawiedliwości w Hadze...

- Ponieważ wojna wywołała masowe przesiedlenia ludności, szczególnie z północnej i zachodniej Liberii, wszyscy uciekali w stronę wybrzeża, do Monrowii. To były masy uchodźców i w 2003 roku, kiedy wojna już dogorywała, wreszcie wkroczyły wojska z mandatu międzynarodowego ONZ – całkiem spora siła – które natychmiast przystąpiły do rozdzielania licznych, zwaśnionych między sobą ugrupowań. W wyniku tych wydarzeń powstały obozy dla uchodźców, nad którymi oficjalną opiekę i nadzór objął UN High Commissioner for Refugees (UN-HCR). To właśnie wtedy pojawiło się zaproszenie ze strony Jesuit Refugee Service, którzy zajmują się problemem uchodźców na całym świecie – wszędzie tam, gdzie taki problem istnieje. W Liberii utworzyli własną misję, do której potrzebowali ochotników. Zwrócili się z pytaniem do werbistów, czy nie ma kogoś, kto chciałby tam pojechać i pracować. Jakoś to wypadło na mnie i tym sposobem znalazłem się w Liberii. Nareszcie odpowiedziałem na Pani pytanie sprzed kilku dobrych minut – dodaje Brat Marek ze śmiechem.

4. Obóz dla uchodźców – namiastka normalności

- Jak toczy się życie w obozie dla uchodźców?

- Beznadziejnie. Człowiek budzi się rano, ale nie idzie do pracy, bo jej nie ma. Czasami ma szczęście, bo albo sam posiada kawałek jakiejś ziemi poza obozem, albo wspólnie z kolegami taki kawałek uprawiają. No, to pójdzie i trochę pogrzebie w tej ziemi – co także zależy od pory roku: musi być sprzyjająca. Jeżeli nie ma takiego szczęścia – to wychodzi przed swoją chatkę-lepiankę i siedzi. Tam czasem spotka kolegów, z którymi może pogadać – i tak mija jego dzień. W międzyczasie próbuje załatwić coś do zjedzenia dla siebie i dla swoich dzieci, co czasem się uda, a czasem nie – i tak mija dzień. Zapada zmrok, idzie spać. Kolejny dzień jest taki sam...

- Czy obóz uchodźcy, z punktu widzenia uchodźcy, wygląda, funkcjonuje jak getto?

- Nie. Ludzie mają swobodę poruszania się, także poza obozem. Są dwa rodzaje uchodźców: wewnętrzni i zewnętrzni. Jeżeli w moim kraju jest wojna, od której uciekam do innego kraju – tam staję się uchodźcą zewnętrznym. Jeżeli takich jak ja jest więcej – władze tego państwa mogą nam stworzyć warunki do przetrwania zawieruchy, która dotknęła moją ojczyznę. Tam mogę czuć się bezpieczny, mieć pewność, że nikt mnie nie zabije. Jednak moją swobodę ruchu ograniczają granice tegoż obozu – jest to teren zamknięty. W przypadku przebywania na terenie mojego własnego kraju – tych obostrzeń i ograniczeń nie ma; są to tzw. uchodźcy wewnętrzni. Po angielsku to się nazywa *internally displaced persons* – mogą poruszać się po obozie i poza nim – oczywiście, o ile to jest bezpieczne.

- Czynią to wyłącznie na własną rękę?

- Tak.

- Dobrze. Kto zatem strzeże bezpieczeństwa w obozie?

- To jest zadanie ONZ, a dokładnie UN-HCR. Jeżeli ONZ obejmuje pieczę nad danym miejscem – to jednocześnie bierze na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo, za warunki bytowe, za opiekę medyczną, dostawę wody, żywności, podstawowych lekarstw. Cały sztab ludzi nad tym czuwa. Dlatego uchodźca może się tam czuć bezpiecznie. Różnie to bywa, bo w kraju rozdartym wojną domową, która ciągle trwa i gdzie grasują uzbrojone bandy – stuprocentowego bezpieczeństwa nikt nikomu nie zagwarantuje. W pobliżu takiego obozu muszą stacjonować jakieś oddziały wojska, które będą zapewniać bezpieczeństwo.

- Mamy zatem jakiś obraz uchodźcy. A gdzie miejsce dla Brata?
- Jak już wspomniałem, uchodźca budzi się, wstaje, dzień mija, idzie spać – i tak dzień po dniu. Ci ludzie całymi latami żyją w tych obozach w stanie zawieszenia. Jeszcze z dziećmi jest o tyle dobrze, że one zawsze potrafią się czymś zająć, wymyślić sobie jakąś zabawę. Chociaż z drugiej strony – takim życiem marnują i swoje dzieciństwo, i młodość. Tu zatem jest miejsce dla misji JRS. Szczególny charyzmat jezuitów polega na pracy w dziedzinie edukacji. Inne organizacje skupiają swoją uwagę na bezpieczeństwie, higienie – choćby dostawa wody i nadzór nad jej czystością. To jest zupełnie kluczowa sprawa: żeby był stały dostęp do wody i to wody zdrowej, pitnej. W innym przypadku natychmiast wybucha epidemia. Są też organizacje skupione na dostawie żywności. A wszędzie tam, gdzie przybywa JRS – od razu zaczynają się działania ukierunkowane na potrzeby ludności w zakresie edukacji. Stąd też głównymi adresatami tych działań są dzieci i ludzie młodzi – żeby wyciągnąć ich z tego marazmu, żeby pomóc im nie zmarnować całkowicie tego kluczowego okresu w ich życiu na siedzenie w obozie, ale zachęcić ich do całkiem innych zajęć, skupionych wokół nauki. Zatem organizują szkoły. I na tym właśnie polegała moja praca – na organizacji różnego rodzaju szkół w obozach: *primary schools* dla dzieci, szkół dla młodzieży i dla dorosłych.

- Głównie do walki z analfabetyzmem?

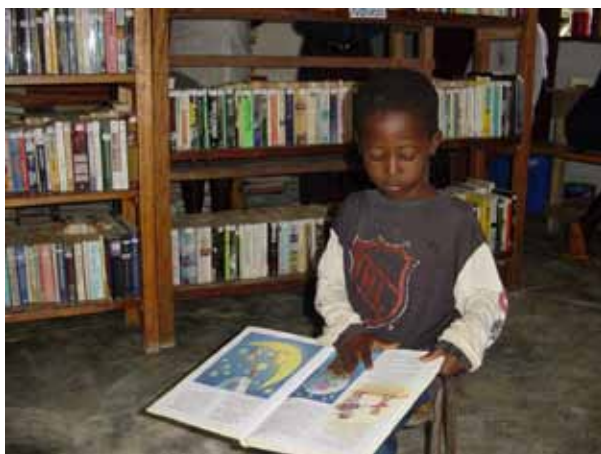
- Nie tylko. Wykształcenie podstawowe, zawodowe.

- Był Brat nauczycielem?

- Nie. Nauczycielami byli rdzenni Liberyjczycy – w obozie nie było ani jednego białego nauczyciela. Liberyjczycy są bardzo świadomi konieczności edukacji i bardzo wrażliwi na tym tle. W Liberii jest wielu wykształconych nauczycieli, choć to właśnie oni padali bardzo częstymi ofiarami rebeliantów, jako wykształcona elita – zatem niebezpieczna, bo ma wiedzę. Nierzadkie były takie sytuacje, kiedy grupa rebeliantów wpadała do wioski i chwytła człowieka. Pytali – kto ty jesteś? Nauczyciel. Tak? To pokaż świadectwo. No to pokazywał. Jedno świadectwo, drugie, potem Dyplom nauczycielski. No, to taki rebeliant stwierdzał: ty tego masz za dużo – a ja nie mam żadnego. I twój sąsiad też nie ma żadnego. I zabijał nauczyciela. W czasie wojny ludzie ginęli za posiadanie świadectwa ukończenia szkoły wyższej. Nauczyciele w obozach sami, z własnej inicjatywy organizowali dzieciom miejsce nauki, gdzieś pod drzewem, w jakimś cieniu. Kiedy myśmy tam przybyli – takie szkoły pod gołym niebem już istniały, tyle że bez żadnego szkolnego wyposażenia. Bez kredy, książek, zeszytów. Naszym zadaniem nie było więc samo nauczanie – ale logistyka. Zorganizować ludzi



1. Liberia, Salala Refugee Camps – szkoła zawodowa w obozie dla uchodźców (Fot. Marek Wojtaś SVD)



2. Liberia, Salala Refugee Camps – biblioteka w obozie dla uchodźców (Fot. Marek Wojtaś SVD)

i powiedziec im: słuchajcie, mamy trochę pieniędzy i możliwości, ale to jest wasz kraj. Jeśli chcecie coś zbudować – to my chcemy wam pomóc. Wyznaczcie miejsce. Ja zorganizuję narzędzia, a wy skrzyknijcie ludzi i zajmijcie się porządkowaniem terenu i jego przygotowaniem pod budowę. Pracowaliśmy nieco ponad 100 km na północ od Monrowii, w największym skupisku obozów dla uchodźców w Liberii – w siedmiu obozach przebywało tam około 140 tysięcy ludzi. Miejsce nazywało się Salala Refugee Camps, od nazwy pobliskiego miasteczka: Salala. W każdym obozie funkcjonowała szkoła podstawowa dla dzieci, 4 lub 5 szkółek popołudniowych i wieczornych, z klasami do nauki czytania i pisania, i 4 szkoły techniczne-zawodowe, gdzie ludzie uczyli się różnych zawodów – stolarstwa, murarstwa, krawiectwa. Ja sam zajmowałem się bezpośrednio tymi szkołami zawodowymi. Było nas dwóch: ksiądz diecezjalny ze Sri Lanki i ja. On zajmował się szkołami podstawowymi, klasami dla uczących się pisać i czytać – i też koordynował cały ten projekt. Natomiast ja miałem pod opieką szkoły techniczne. Organizowaliśmy też, wspólnie z Ministerstwem Oświaty Liberii oraz UNICEF, warsztaty szkoleniowe dla nauczycieli. Tak upłynęły dwa lata mojej pracy. Pod koniec mojego pobytu zaczęło się przesiedlanie uchodźców do ich pierwotnych miejsc zamieszkania. Było już na tyle bezpiecznie, że mogli wracać do swoich domostw. Ponieważ w naszych obozach większość ludności pochodziła z północy, z terenów graniczących z Gwineą, i tam właśnie wracała – my podążyliśmy za nimi. Swoją placówkę ustanowiliśmy w mieście Voinjama – chcieliśmy im pomóc jakoś się zorganizować z powrotem u siebie, wyremontować kilka szkół i zobaczyć, jak oni tam sobie radzą.

- Zostawić ich z wędką i mieć pewność, że już z tej wędkę potrafią skorzystać...

- Coś takiego – z namysłem odpowiada Brat Marek i widzę w jego oczach zafrasowanie...



3. Liberia, Salala Refugee Camps – absolwenci szkoły zawodowej w obozie dla uchodźców (Archiwum SVD, Pieniężno)



4. Czad, Laramanaye – kościół pw. św. Arnolda Janssena SVD
(Fot. Marek Wojtaś SVD)

5. Kobieta u sterów równa się szansa na normalność?

- Przygotowując się do wywiadu z Bratem przeczytałam m.in., że w tej chwili funkcję prezydenta Liberii pełni kobieta, Ellen Johnson-Sirleaf.

- Tak. Wybory wygrała w listopadzie 2005 roku.

- Czyli jeszcze kiedy Brat tam był.

- Tak, jeszcze tam byłem.

- Czy zmiana była już odczuwalna?

- Nie, jeszcze nie... Było jeszcze sporo napięcia, bo jej rywalem w wyborach był George Weah, były piłkarz. Wykreował się na gwiazdę młodzieży. Piłkarz, sportowiec, Ambasador Dobrej Woli z ramienia ONZ... Przegrał w II turze, z czym nie mógł i nie chciał się pogodzić. Zaczął więc rozgłaszać, że wybory były sfałszowane - w związku z czym on zamierza zaskarżyć ich wynik do różnych sądów i w ogóle gdzie się tylko da. Większość jego zwolenników to byli ludzie młodzi, ci ex-żołnierze, ta rozhuwana młodzież, którą można bardzo łatwo popchnąć w którą bądź stronę: albo do raju, albo do piekła. Zaczęli się więc gromadzić przy jego domu w Monrowii, organizować demonstracje, krzyczeć, że nie pozwolą, żeby ich kandydat przegrał. Albo Weah, albo wojna. Na co tym razem bardzo zdecydowanie zareagowała ONZ, kilka demonstracji energicznie spacyfikowali i w oficjalnym oświadczeniu zdecydowanie stwierdzili, że na kolejną wojnę domową nie pozwolą. Wreszcie sam Weah ustąpił, uznał wynik i Johnson-Sirleaf za legalnie wybraną prezydent Liberii.

- Czy prezydent Sirleaf jest potomkinią Amero-Liberyjczyków, czy raczej rdzennych mieszkańców?

- Nie jest Amero-Liberyjką, ale, o ile pamiętam, ten temat w ogóle nie był podnoszony. Dość dokładnie śledziłem te wybory, słuchałem rozmów ludzi na ulicach, na rynkach, czytałem lokalną prasę i nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek podnosił tę kwestię. Ellen Johnson wykształcenie zdobyła w USA - jest ekonomistką z Harvardu. Od czasu objęcia przez nią władzy w Liberii panuje pokój, chociaż bardzo chwiejny. Nawet niedawno, zapewne Pani słyszała, wróciły zamieszki i to dokładnie do tego miasta, w którym pracowałem - do Voinjama. Jakieś plotki, ktoś coś usłyszał albo ktoś czegoś nie dosłyszał, podburzył innych... Zaczęły się rozruchy, w wyniku których czworo ludzi z Voinjamy zginęło, nasz kościół katolicki został zaatakowany i w znacznej mierze zniszczony. Podpalono także szkołę, w której pracowałem i którą właściwie własnoręcznie odbudowywałem.

- Wspominany już tutaj Janusz Tichoniuk, podróżnik z Białogostoku, który odwiedził Liberię w 2010 pisze, że „dzisiaj to stosunko-

wo stabilny kraj”¹⁴. Co krzepi i daje nadzieję. Czytałam jednak o konfliktach i zamieszkach między chrześcijanami i muzułmanami. Ogólnie Liberia pod względem religii i wyznań jest bardzo zróżnicowana. Mieszka w niej duża liczba chrześcijan – z czego katolicy stanowią akurat najmniejszy odsetek, jest sporo muzułmanów, ale także animistów. Proszę powiedzieć Czytelnikom „Nurtu”, jak dużą rolę w Brata pracy odgrywała religia i chrześcijańsko-katolickie pochodzenie. Czy w klasach obok siebie siedziały dzieci chrześcijańskie i muzułmańskie, jak wszyscy godzili się ze sobą?

- Przynależność religijna nie odgrywała dla nas żadnej roli. Zawsze powtarzaliśmy, że ktokolwiek chce z nami pracować i u nas się uczyć – jest mile widziany. Że nas kompletnie nie obchodzi, czy to jest katolik, muzułmanin, metodysta, świadek Jehowy, czy ktokolwiek inny. Nigdy o to nie pytaliśmy i nigdy nie był to temat jakichkolwiek rozmów. Tak samo przyjmowaliśmy byłych rebeliantów. W naszych szkołach, a szczególnie w tych moich – technicznych, uczyła się całkiem spora grupa byłych wojowników i dzieci-żołnierzy. Niektórzy z nich mieli dość bogatą przeszłość. Niektórych przypadków nawet nie byłem za bardzo świadomy. Dużo więcej wiedzieli moi najbliżsi współpracownicy – instruktorzy, nauczyciele. Oni mi często mówili: Bracie Marku, tych dwóch pochodzi z takiej a takiej wioski, brali udział w różnych zamieszkach i są na to wiarygodni świadkowie... I takich osób było wiele. Wszyscy też wiedzieliśmy, że musimy ich przyjąć, bo jak my ich nie przyjmiemy – to oni pójdą do lasu. Musimy zatem przebaczyć, zapomnieć to wszystko, co było straszne, i żyć normalnie, wspólnie, wszyscy razem. Poza tym miałem wielu znajomych i przyjaciół wśród muzułmanów. Naprawdę, bardzo wielu. Co najmniej połowa moich dobrych kolegów i ludzi, z którymi współpracowałem – to byli muzułmanie. Właśnie w Salala muzułmanie własnymi rękoma pomagali mi budować kaplicę dla chrześcijan. W Voinjama pomogli mi odbudować szkołę katolicką. Sami muzułmanie...! Trzech wziąłem ze sobą z Salali na północ, do Voinjama – bardzo dobrych cieśli, którzy nadzorowali odbudowę, układanie dachu i tego wszystkiego.

- Czy postrzegaliście, jako wszyscy przebywający tam na misji katolicy, swoją pracę jako ambasadę chrześcijaństwa?

- Nie... Traktowaliśmy to jako obecność wśród ludzi, którzy potrzebują nie tyle pomocy materialnej (jedzenia, wody, schronienia) – ale pomocy wynikającej z obecności wśród nich innych ludzi, którzy z własnej i nieprzymuszonej woli siedzą razem z nimi w tej biedzie,

¹⁴ J. Tichoniuk, *Liberia – wymyślony kraj*, art. cyt.

śluchają ich, rozmawiają – po prostu są z nimi. Codziennie. Misją JRS jest *towarzyszyć, służyć i bronić praw osób przymuszonych do zmiany miejsca swojego pobytu* [to accompany, serve and advocate the rights of the forcibly displaced persons]. Jesuit Refugee Service jest częścią Towarzystwa Jezusowego. Zawsze współpracuje z miejscowym kościołem i biskupem. Różnie ta współpraca się układa: czasami lepiej, czasami gorzej – ale z biskupem współpracują, więc pierwsza rzecz, na którą jezuici zwracają uwagę – to sytuacja i warunki. Próbuje poznawać miejscowych ludzi, orientują się, kto tam może być siostrą lub księdzem przełożonym, biskupem – wtedy próbują nawiązać z nimi kontakt. I tak było w Liberii: pracowaliśmy właściwie pod auspicjami lub patronatem miejscowego biskupa, który polecił nas, według własnego przekonania – godnym zaufania ludziom, tym, z którymi można współpracować i których warto słuchać. Kazał nam skontaktować się z nimi. Jeśli będziecie słuchać ich rad – to wszystko będzie dobrze. I tak robiliśmy – i wszystko było dobrze. Naszą prawą ręką, a czasem faktycznym szefem, był katecheta, Dominic Carr. Jako „miejscowy” znał tam wszystkich, cieszył się poważaniem i estymą oraz zaufaniem biskupa – zatem to on nam mówił, co warto robić – a czego nie, co jest ryzykowne – a co jest bardzo ryzykowne, co może się udać – a co jest z góry skazane na niepowodzenie. To Dominic nami kierował, doradzał i zdołał obronić w kilku rzeczywiście niebezpiecznych sytuacjach. Nasze centrum, a jednocześnie pierwsza szkoła techniczna, powstała w miejscu zaplanowanym pod budowę kościoła. Teren należał do diecezji i czekał na sprzyjające budowie czasy. Udało nam się wybudować kaplicę.

– Planowany kościół będzie katolicki?

– Tak. Nasza praca duszpasterska polegała głównie na organizowaniu, chociaż raz w tygodniu, w niedzielę, mszy. Były też msze na Wielkanoc, na Boże Narodzenie.

– A chrzty, śluby?

– Tak, oczywiście! Kilku chłopców, wśród nich syn tego katechety, dwie dziewczynki, w Wielkanoc 2004 roku.

– A pogrzeby? Zdarzyła się kiedyś taka sytuacja, że zmarły pochodził z innej tradycji religijnej, a – z braku duchownego tejże wiary – pogrzeb odprawił ksiądz katolicki?

– W Liberii, ze względu na klimat, ludzie chowa się bardzo szybko. Nie ma cmentarzy. Jedyne cmentarze, jaki widziałem, znajdował się pod Monrowią. Liberyjczycy grzebią ludzi tam, gdzie się da, często nawet przy swoich domach. Jeżeli ktoś posiada pole – to grzebie na tym polu. Jeżeli nie ma żadnej ziemi – musi poszukać kogoś, kto udostępni

mu kawałek swojej ziemi. Zazwyczaj groby znajdują się w lesie, pod lasem... Odpowiadając na pytanie: raczej nie. Jednak pewnego razu zdarzyło się tak, że to my sami właściwie wyszliśmy z taką inicjatywą. Mieszkaliśmy we wsi i nie mieliśmy własnej siedziby – w odróżnieniu od Czerwonego Krzyża lub Médecins Sans Frontières, którzy budowali lub wynajmowali okazałe budowle na swoje przedstawicielstwa, ogradzali je i mieli taki campus dla siebie. A my mieliśmy zwyczajny domek we wsi, tuż przy drodze. Moje biuro znajdowało się w mojej sypialni: obok mojego łóżka stało mnóstwo kartonów z książkami, zeszytami, ołówkami, młotkami, gwoździami. W naszym domu i wokół niego ciągle przebywali jacyś ludzie, a dla dzieci dom w ogóle był królestwem: chodziły sobie swobodnie, robiły, co chciały. Pewnego dnia dziewczynka z sąsiedztwa zmarła na malarię. Bardzo miła, spokojna, trochę smutna i zamknięta w sobie – taką miała naturę, że trudno ją było rozweselić, miała może 5-6 lat. Trochę przyjaźniliśmy się z jej rodzicami, którzy, jak się okazało, byli religijnie mieszanym małżeństwem: ojciec deklarował się jako świadek Jehowy, a matka nie była zdecydowana. To zresztą wśród Liberyjczyków jest bardzo popularne: w jedną niedzielę idą do kościoła protestanckiego, w inną do katolickiego – i postrzegają to jako coś normalnego. Dziewczynka zachorowała w nocy, ja akurat byłem w Monrowii, ale potem ojciec mi opowiadał, że pod moją nieobecność dzień przed śmiercią ona parę razy przychodziła do naszego domu i szukała mnie. A w nocy zachorowała, malaria bardzo szybko zaatakowała jej mózg – i zmarła. Ja w międzyczasie wróciłem...

– ...ale mała już się na Brata nie doczekała?

– Nie. Nad ranem rozległo się tylko bolesne zawodzenie i płacz – to byli jej rodzice. W tym czasie tego mojego znajomego księdza ze Sri Lanki też nie było – też musiał gdzieś wyjechać. Przejąłem się tą śmiercią, bo bardzo lubiłem tę dziewczynkę. Spytałem, gdzie ją pochowają – odpowiedzieli mi, że właśnie będą szukać. W końcu znaleźli miejsce pod lasem, poszedłem razem z nimi i jakoś tak naturalnie zacząłem się modlić – i właściwie wyszedł mi z tego katolicki pogrzeb tej dziewczynki. Sytuacja była bardzo wzruszająca, wszyscy byliśmy niezwykle poruszeni, a rodzice byli tak wdzięczni, że bardzo wszyscy się do siebie zbliżyliśmy. Długo po tym pogrzebie, wieczorami zachodziłem do nich, żeby trochę razem posiedzieć. Ojciec, wierzący świadek Jehowy, nie mógł się z tym pogodzić, pytał mnie, jak to teraz będzie, bo pastor mówił, że do nieba idzie ograniczona liczba ludzi, najwyżej kilka tysięcy, a ona była taka mała, że na pewno trafi do piekła...! Powiedziałem mu, że tak absolutnie nie jest, pastor opowiada głupstwa, gdyby tak było – to niebo już dawno byłoby zamknięte z powodu przeludnienia,

a takie kochane dzieci jak ich córeczka z pewnością idą prosto do nieba. Cała ta sytuacja, nasze rozmowy doprowadziły do tego, że jej rodzice i rodzeństwo wszyscy razem zapisali się na kurs katechetyczny. Jeden z ich synów wkrótce przystąpił do chrztu, a oni sami od tamtej pory regularnie uczęszczali na katechezy, a co niedzielę na mszę lub nabożeństwo. Wspaniały przykład działania Pana Boga. Także i tego, że czasem czyjaś śmierć prowadzi do czegoś bardzo pozytywnego, jest jakby ofiarą za jakieś dobro.

6. Chciałam Liberii – dostałam jeszcze Czad...

- To tak wygląda Liberia... Trzymamy kciuki za ten kraj, a przede wszystkim za Liberyjczyków, bo Amerykańskie Towarzystwo Kolonizacyjne wybrało dla nich naprawdę piękny zakątek świata...

- Zdecydowanie trzymamy! I za mój jeszcze do Liberii powrót!

- Trzymamy! W styczniu 2007 wraca Brat jednak do Europy i nie grzeje zbyt długo miejsca, bo wkrótce potem udaje się do Czadu...

- W Liberii mogłem pracować tylko dwa lata, bo tak dyktuje polityka personalna JRS i statut, który na tyle określa maksymalny okres czasu, jaki na ich misji można spędzić. Praca na misji JRS jest szczególnie uciążliwa, czasami niebezpieczna, w ciężkich warunkach – dlatego każdy kontrakt podpisuje się maksymalnie na dwa lata. Jezuiti uważają, że po takim czasie – choć samemu misjonarzowi może wydawać się inaczej – jest zbyt zmęczony, by kontynuować pracę i potrzebuje odpoczynku. Jeżeli jest na to obopólna chęć i zgoda – kontrakt można oczywiście przedłużyć, ale zawsze z jakąś przerwą na wakacje, na solidny odpoczynek. Potem można wracać na misję. W moim przypadku kontrakt wygasł i wróciłem do Irlandii, gdzie jednak nie mogłem spokojnie usiedzieć. Chciałem wrócić do Liberii, co jednak nie było już, niestety, możliwe. Zdecydowałem, że chcę w takim razie wrócić po prostu do Afryki, w miarę możliwości – do warunków podobnych do tych liberyjskich. Mój wybór padł na Czad. Pan Bóg jakoś tak tym wszystkim pokierował, że ze strony moich wyższych przełożonych z Generalatu wybór również padł na Czad i konkretnie na mnie. Był październik 2007. Niestety, nie mogę zbyt wiele o Czadzie powiedzieć – spędziłem tam tylko kilka miesięcy. Nie zdążyłem się dobrze zorientować w sytuacji – uległem wypadkowi drogowemu, musiałem wracać do Polski i tak to się wszystko skończyło. Czad mocno różni się od Liberii: Liberia to kraj bardzo mały – jeden z najmniejszych w Afryce, zaledwie 111 tys. km²; i jeden z najbiedniejszych. Czad natomiast

jest jednym z największych, piątym co do wielkości krajem afrykańskim. Jego powierzchnia wynosi 1,2 mln km². Z drugiej strony – Liberia to kraj piękny, w dużej części pokryty dziewiczymi lasami. Z kolei duża część powierzchni Czadu to Sahara – obszary na północ od stolicy, Ndżameny – to sama pustynia. Misja werbistów zlokalizowana jest na południu, 30 km od granicy z Kamerunem, w takim „narożniku” Czad-Kamerun-Republika Centralnej Afryki. Im dalej na południe od Ndżameny, tym krajobraz staje się ciekawszy, jest więcej zieleni. Z kolei nasza misja znajduje się na suchej równinnej sawannie. Mnóstwo wolnej trawiastej przestrzeni. Dalej na południu krajobraz jest bardziej zalesiony, widać pola uprawne – zwłaszcza kukurydzy. Ale krajobraz, mimo wszystko, jest suchy i nie zachwyca tak jak w Liberii. Misja werbistów w Czadzie funkcjonuje od 2004 roku. Przybyliśmy tam na zaproszenie miejscowego biskupa. Cała diecezja znajduje się pod opieką włoskich kapucynów, a biskupem jest zakonnik pochodzący z prowincji Ojca Pio – z Kampanii. Stąd cała diecezja nazwana została imieniem św. Ojca Pio. Nasza parafia nosi natomiast imię naszego Założyciela, św. Arnolda Janssena. Początki misji w Czadzie były dość trudne, ponieważ zawsze napotykaliliśmy tam jakieś przeszkody o charakterze personalnym. Misję zaczęło dwóch współpracowników – z Filipin i z Kongo. Wkrótce potem dołączył do nich współpracownik z Indii, którego mianowano przełożonym wspólnoty. Niestety, niedługo po objęciu tej funkcji rozchorował się na żółtaczkę i to tak poważnie, że musiał wracać do swojej ojczyzny, gdzie dostał kategoryczny zakaz ponownego wyjazdu do Afryki pod groźbą rychłego zgonu z powodu pierwszej lepszej infekcji. W ten sposób straciliśmy jednego człowieka. W międzyczasie przybył współpracownik z Zambii, który po niespełna roku zmarł na malarię. Po paru miesiącach przybyłem ja i też nie zabawiłem długo ze względu na ten wypadek. Teraz jest już, szczęśliwie, trochę lepiej – w międzyczasie przybyło trzech nowych współpracowników, wspólnota liczy już zatem pięć osób.

– Na czym tam polegała Brata praca?

– Podstawowa praca duszpasterska, ewangelizacja... Kościół w Czadzie jest bardzo młody – oficjalnie działa tam dopiero od 1938 roku. Jest młodszy niż w Liberii – tam istnieje od roku 1908. Chrześcijaństwo w tym kraju jest bardzo powierzchowne. Często to dopiero pierwsze lub drugie pokolenie chrześcijan. Należy wielką wagę przywiązywać do tego, co po angielsku określa się *primary evangelisation* – nauczanie podstawowych prawd wiary: kim jest Bóg, czym jest Kościół, msza, sakramenty. Spotykamy się z ludźmi, także z katechetami, z przewodnikami modlitw, organizujemy warsztaty i szkolenia.

Próbowałem pomóc swoimi umiejętnościami i zdolnościami w formie drukowanej – czyli broszurki, agenda biblijna, małe książeczki. W tym widziałem swoją szansę na robienie czegoś pożytecznego i jednocześnie satysfakcjonującego, ale, niestety, nie udało się... Ogólnie praca w Czadzie polega w dużej mierze na poznawaniu ludzi i całej parafii, dużej i obejmującej dość rozległy obszar. Wiele miejsc jest trudno dostępnych – bracia i ojcowie próbują dotrzeć jakoś do tych wiosek, szczególnie tam, gdzie ktoś słyszał, że mieszka jakiś katolik. Chcemy do niego dotrzeć, sprawdzić jak żyje...

- ...i zapytać, czy dalej chce słuchać Słowa Bożego.

- Tak... Niedawno objeśliśmy w Czadzie już drugą parafię.

- Czad to także miejsce związane z polityką i z ogromem ludzkiego cierpienia. To właśnie do Czadu napływają masy uchodźców z Sudanu Południowego, głównie z Darfuru.

- Tak. Sudan to bardzo ciężka sytuacja, bardzo zapalna. Wiosną przyszłego roku ma się tam odbyć referendum na temat pozostania lub odłączenia się południowego Sudanu od reszty kraju. Wygaśnie także obowiązujący w tej chwili rozejm pokojowy – w związku z czym wielu obserwatorów obawia się wybuchu kolejnego ogromnego konfliktu zbrojnego w Afryce, który może objąć nie tylko Sudan, ale rozprzestrzenić się także na kraje sąsiednie. Ostatecznie Etiopia i Erytrea też ciągle ze sobą walczą. Nie wiadomo jak zachowa się Libia... W tej chwili Czad przyjmuje wielu uchodźców z Darfuru, głównie na tereny pustynne, północno-zachodnie. Przyjmuje także, na południu, wielu uchodźców z Republiki Afryki Centralnej. A przy tym wszystkim ma własne problemy – tam także wiele lat trwała wojna domowa. Obecny prezydent, który swego czasu nielegalnie załatwił sobie trzecią kadencję i ani myśli ustąpić, ma także wielu przeciwników. Już kilka razy rebelianckie wojska szły na Ndżamenę. Mniej więcej rok temu armia rebeliancka już stała pod pałacem prezydenckim i bezpośrednio zagrażała głowie państwa. Jednak oficjalnej armii, wspomaganiej przez Francuzów – na szczęście lub nie – udało się odeprzeć ten atak. Od tamtego czasu prezydent podobno mocno fortyfikuje swój pałac.

- Czy spotkał się Brat z uchodźcami z Darfuru, z Sudanu?

- Nie. Moja praca w Czadzie, zgodnie z wyraźnym życzeniem moich przełożonych w Rzymie, dotyczyła wyłącznie terenu naszej parafii.

7. Misjonarz - pasja pomagania innym

- Wiele mi Brat opowiedział o swojej przeszłości, „obarczając” nią nieco Pana Boga, który tak, a nie inaczej kierował Brata losem. Te-

raz jest okres rekonwalescencji, ale z tego, co widzę – długo Brat w Pieńężnie nie zabawi. Gdzie w tej chwili chciałby Brat realizować swoje powołanie?

– Nie wiem, zupełnie nie wiem. Nie mam w tej chwili ani żadnych konkretnych planów, ani zamiarów. Pan Bóg działa sam, po swojemu. Nigdy bym przecież nie przypuszczał, że pojedę do Liberii, nawet konkretnie nic nie wiedziałem o tym kraju – prócz jakichś wzmianek w prasie, w telewizji. A znalazłem się tam. Pan Bóg wszystko sam zorganizował i zaprezentował mi dopiero wtedy, gdy miał już szczegółowy plan działania – dumnie uśmiecha się Brat Marek. – Z Czadem było podobnie. Dlatego nic nie planuję.

– Z czego jest Brat w swojej pracy szczególnie dumny, a co chciałby Brat jeszcze w życiu osiągnąć? Widać, że moje pytania – szczególnie pierwsze – wyraźnie wprawiły Brata Marka w zakłopotanie. I zdaje się, że przyczyną jest skromność – a nie szczególniey brak dokonań... Namyśla się dłuższą chwilę i, ważąc dokładnie każde słowo – odpowiada:

– Chętnie wróciłbym do Afryki lub do sytuacji znanej mi z Liberii. Do tego rodzaju pracy i życia. Z kilku rzeczy byłem tam zadowolony albo nawet troszeczkę dumny. Nawet z tego, że – z pomocą innych – udało mi się wyposażyć kilkunastu ludzi w takie rzeczy, które im się przydają. Na przykład, kiedy podróżowałem pod koniec mojego pobytu po północnej Liberii – przez żadną wioskę nie przejechałem nierozpoznany. Zawsze ktoś mnie wypatrzył, zawołał – musiałem zatrzymać samochód i chociaż chwilę porozmawiać z tym człowiekiem. Każdy witał mnie z ogromną, niekłamana życzliwością. Pokazywali mi też narzędzia, które ja im kupiłem na zakończenie ich kursów stolarstwa, murarstwa... Młotki, dłuta, kielnie – żeby przy ich pomocy mogli zacząć coś robić. Niektórzy zapraszali mnie do swoich domów i pokazywali: popatrz – te narzędzia mam od ciebie i za ich pomocą zbudowałem ten dom. No i wtedy rzeczywiście byłem zadowolony.

– No widzi Brat?! Jednak był tam powód do dumy!

– Tak, to powód do wielkiej satysfakcji.

– A najbardziej niebezpieczna sytuacja?

– Kilka razy znalazłem się w takich okolicznościach, w których jakaś grupa ludzi, z obozu lub na ulicy, czymś się podnieciła i zaczęły rozrabiać, a Liberyjczycy są bardzo gwałtowni i emocjonalni. I kilka razy sam w takim „oku cyklonu” się znalazłem. Ale zawsze wszystko dobrze się kończyło, często dzięki przytomności umysłu moich liberyjskich przyjaciół. Bez nich zginąłbym pewnie marnie...

– Gdzie ludzie są miłsi: w Liberii czy w Czadzie?

- O, to trudno powiedzieć. Wydaje mi się, że w Liberii są bardziej otwarci, żywi, rozmowni, a w Czadzie - bardziej kontemplacyjni, nawet nieco ospali. Mają znacznie spokojniejszy temperament. Ogólnie, praca z uchodźcami tam, gdzie ta sytuacja uchodźcy się zaczyna - tj. w kraju ogarniętym wojną, przemocą lub kataklizmem - jest bardzo trudna, wymagająca, ale także ogromnie satysfakcjonująca i niezwykle potrzebna. By uzyskać jakieś owoce dla innych i dla siebie i mieć to poczucie spełnienia - myślę, że trzeba dać z siebie wszystko. Nie można pracować na „pół gwizdka”, na zasadzie jakiejś dniówki, etatu. Tak nie można, bo nie dając z siebie wszystkiego - nie otrzyma się niczego. Ja miałem wielkie szczęście, że trafiłem na tego wspaniałego misjonarza ze Sri Lanki. On miał ogromne doświadczenie w pracy z uchodźcami w swojej własnej ojczyźnie. Był zatem moim przewodnikiem, doradcą, a także bardzo dobrym kolegą. Świetnie nam się razem żyło i pracowało. Dużo się od niego nauczyłem. Pracowaliśmy razem od świtu do nocy, a czasem i w nocy - ale dawało nam to mnóstwo satysfakcji. Także dzięki takiemu zaangażowaniu zyskaliśmy duże zaufanie i życzliwość miejscowych ludzi, którzy pracowali z nami nie tylko dlatego, że byliśmy białymi przedstawicielami bogatej organizacji z Europy - współpracowali z nami dlatego, że z nimi żyliśmy, nie tylko pracowaliśmy. O każdej porze dnia i nocy mogli do nas przyjść - ale i my mogliśmy do nich pójść, porozmawiać o pracy lub o wspólnych problemach, o tym, co było wczoraj lub o tym, co planujemy na następne dni. Albo po prostu o życiu. Te rozmowy były szczere i pełne przyjaźni. I to sobie najbardziej ceniłem. Bardzo bym był rad, gdyby werbiści, jako całe zgromadzenie, chcieli się bardziej zaangażować w pracę z uchodźcami w miejscu, z którego pochodzą i w którym ich status uchodźcy się tworzy. Ważna jest praca z uchodźcami w kraju ich emigracji, schronienia, najczęściej w Europie - ale o wiele ważniejsza jest praca z nimi w ich zrujnowanym domu, w obozie, w ich kraju ogarniętym nieszczęściem; po to, by nie musieli uciekać do innego kraju lub na inny kontynent, ale mogli zostać w domu i zacząć normalnie żyć...

Oczywiście, nie mogłam darować i zapytałam o te liberyjskie karaluchy-giganty. Brat Marek - jak do każdego z moich pytań - także do tego odniósł się poważnie, profesjonalnie i merytorycznie. Zyskawszy wiele doświadczeń własnych - opowiadał o nich z uwzględnieniem wszelkich szczegółów, także technicznych, których P.T. Czytelnikom „Nurtu” oszczędzę. Zdradzę jedynie, że Brat Marek nie znosił tych karaluchów dokładnie tak samo mocno jak Ryszard Kapuściński i ja...!

Wywiad przeprowadzony został 21 marca 2010 roku.

Streszczenie

Brat Marek Wojtaś, od 1994 roku misjonarz ze Zgromadzenia Słowa Bożego, w latach 2004-2006 pracował na misji w Liberii. Jesuit Refugee Service, organizacja działająca od 1980 roku w ramach Towarzystwa Jezusowego, poszukiwała ochotników do pracy w obozach dla uchodźców. Brat Marek, zgodnie z profilem działalności JRS, zajmował się pomocą około-edukacyjną: choć sam nie nauczał – zapewniał nauczycielom pomoce dydaktyczne, a uczniom szkół zawodowych – narzędzia do wykonywania zawodu. Bywało, że wspólnie z ludźmi wszelkich wyznań i narodowości od podstaw (tj. od karczowania terenu) budowali szkoły i kościoły. Przeżywał chwile trudne, niebezpieczne, ale też takie, które do dziś napawają go niekłamaną dumą. Mnie, jako interlokutorce, głęboko w serce zapadła i do dziś wzrusza opowieść o małej liberyjskiej dziewczynce...

Brat Marek przez krótki okres czasu przebywał także w Czadzie, gdzie w parafii św. Arnolda Janssena pracował duszpastersko i ewangelizacyjnie. Niestety, wypadek samochodowy przerwał jego misję i w chwili obecnej Brat Marek jest nauczycielem w Wyższym Seminarium Duchownym w Pieniężnie. Czeką jednak na kolejne wezwania, najchętniej do Liberii, a jeśli nie – to do pracy z uchodźcami.

Abstract

Brother Marek Wojtaś, since 1994 a Divine Word Society missionary, in 2004-2006 worked on mission in Liberia. Jesuit Refugee Service, an organisation working since 1980 within the Society of Jesus, sought volunteers to work in refugee camps. Brother Marek, due to the JRS activity profile, dealt with circum-educational assistance: though not a teacher himself – he assured teaching materials to teachers and equipped the professional school students with necessary tools to perform their profession. At times, together with co-workers of every confession and nationality, he built from their bases (that is, by clearing out the terrain) school buildings and churches. He lived through difficult, dangerous moments as well as such that fill him with genuine pride until today. I myself, as his interviewer, cherish especially a tale of a small Liberian girl which still moves me deeply...

Brother Marek spent a short time also in Chad, where he worked pastorally and evangelising in St. Arnold Janssen Parish. Unfortunately, a car incident disrupted his mission untimely and now he teaches English in the Higher Mission Seminary in Pieniężno. He awaits, however, further calls, preferably to Liberia and if not – to work with refugees.